Kraków, 19-go kwietnia 1914 r.

Rok 10. Nr. 8.



Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 16.

Dzieci kochane!

Jeśli przed spowiedzią odmówiłyście same po cichu, lub z innemi dziećmi razem głośno modlitewkę zwaną „spowiedź powszechna“ (Spowiadam się i t. d.), nie potrzebujecie już jej odmawiać przy spowiedzi przed kapłanem. Wystarczy, dziecko kochane, gdy się przeżegnasz, przystąpiwszy do konfesyonału i powitasz kapłana słowami: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Potem powiesz: Spowiadam się pierwszy raz i takie grzechy pamiętam:... tu powiesz wszystkie swoje grzechy, wszystko, co złego zrobiłeś, to, co pamiętasz i tak jak pamiętasz. Jeśli to nie pierwsza spowiedź, zamiast mówić: Spowiadam się pierwszy raz — powiesz: Spowiadałem się ostatni raz (tu powiesz którego dnia i miesiąca, n. p. 4-go marca, albo: przed miesiącem, przed tygodniem, — tak jak było, i jak pamiętasz). Także grzechy wyznasz tylko te, które popełniłeś od ostatniej dobrej spowiedzi.

Jeślibyś jaki grzech zapomniał, i nie wyznał go dlatego, bo nie pamiętałeś, Pan Bóg Ci go przebaczy, tak jak te wszystkie grzechy, które wyznałeś. Ale czy przebaczyłby, gdybyś go zataił, bo się go bardzo wstydzisz i boisz się powiedzieć go kapłanowi? O! dziecko kochane, niech cię Bóg broni od takiej spowiedzi! Wtedy Bóg nie tylko nie odpuściłby ci żadnego grzechu, ani tego, który zataiłeś, ani tych, do ktorych się przyznałeś, ale odszedłbyś od takiej spowiedzi z duszą jeszcze brzydszą, z nowym strasznym, ciężkim grzechem, który się nazywa

spowiedź świętokradzka. Więc szczerze przyznaj się do wszystkiego, nic nie ukrywaj przed kapłanem, a z czystą duszą odejdziesz od spowiedzi.

DO DZIECI.

Jak jelonki wśród murawy,
Pięknie bawcie się dziateczki,
Ale za to od zabawy —
Dalej, dalej do książeczki!

Przy nauce śród igraszek,
Korzystajcie z czasu, dzieci!
Wiek dziecięcy, tak jak ptaszek
Wcześnie, wcześnie wam uleci.

Niebo drogi czas wam dało,
Nie miejcież go w poniewierce!
Przy zabawie kształćcie ciało,
Przy nauce kształćcie serce.

JAK TO BYŁO W POLSCE.

(OPOWIEDZIAŁ DZWONNIK).

(Ciąg dalszy.)

Pierwsze bezkrólewie.

Kiedy umarł król Mieczysław II a żona jego Ryksa z małym królewiczem wyjechała do Niemiec - przyszło w Polsce do wielkiego zamieszania i rozruchów. Nie można się temu tak bardzo dziwić, bo wówczas państwa nie były tak urządzone, jak dzisiaj, gdzie to w każdem państwie są na wszystko ustanowione prawa i gdzie liczni urzędnicy pilnują tego, aby każdy wedle tych praw postępował.

W owych czasach, blisko tysiąc lat temu tak nie było. Wówczas cała władza nad krajem i państwem była w ręku króla, a kto miał w czem jaką krzywdę, ten mógł tylko użalić się królowi; spory sąsiedzkie także rozstrzygał król.

któr w tym celu objeżdżał kraj, zatrzymywał się w grodach i odprawiał sądy. Dla utrzymania porządku w kraju i dla obrony granic jego utrzymywał król drużynę wojskową i sam ją opłacał. Ludność miała tylko obowiązek dostarczać do grodów i miast płodów surowych na żywność dla wojaków.

W nagrodę za służbę wojenną przy swym boku, rozdawał król swym rycerzom ziemię, której wielkie obszary były jeszcze wówczas nieuprawne i niezamieszkało. Rycerz budował tam sobie dwór i budynki gospodarcze a do pracy w roli używał jeńców, których nabrał we wojnach, albo też osiedlał na niej, na małych działkach tę ludność, która nie trudniła się wojaczką. W ten sposób powstały w Polsce różne klasy ludności. Z rycerzy królewskich, których król za wierne służby ziemią i łaską swoją obdarzał, powstała szlachta; z osiadłej na mniejszych kawałkach ziemi ludności powstała klasa wolnych kmieci, a zaś z jeńców wojennych powstała klasa chłopów, którzy z początku byli w osobistej u swego pana niewoli. Niewola osobista wkrótce jednak w Polsce ustała. Nie wolno było więc sprzedawać chłopów, jak się to działo w innych krajach, n. p. w Anglii, Francyi i Niemczech. Chłopi w Polsce tylko do ziemi byli przywiązani, to znaczy, że nie wolno im było bez pozwolenia ich pana opuszczać wsi, w której mieszkali a oprócz tego musieli oni kilka dni w tygodniu pracować na roli swego pana, czyli odrabiać pańszczyznę.

Kiedy umarł Mieczysław II, drużyna jego rycerska rozpierzchła się, bo nie było komu jej żywić i troszczyć się o nią. Ludność nie chciała dostarczać do grodów żywności, a nie było nikogo, coby ją do tego zniewolił. Ale skutek tego był bardzo niedobry. Zaborcze sąsiady wpadały do kraju, rabowały dobytek, ludność zabierały w niewolę. Zbuntowała się także owa ludność niewolna, rzucała się na swych panów, mordowała ich, a majątki ich zabierała.

Rozgorzała w kraju prawdziwa wojna domowa. Ci, którzy nie byli dosyć ugruntowani w wierze chrześcijańskiej i w cichości sprzyjali pogaństwu rzucali się na kra-

ścioły i klasztory, burzyli je i palili, księży i zakonników zabijali albo wypędzali.

Po kilku latach takich stosunków uznali Polacy, że niedobrze jest narodowi bez króla.

Wysłali więc posłów do Niemiec do królowej Ryksy, aby nie broniła synowi swemu Kaźmierzowi wrócić na tron ojcowski. Jużci nie broniła mu tego Ryksa, bo nawet podobno ona to przez stryja swego cesarza Konrada II. starała się o to, aby tron polski dostał się nie komu innemu, tylko jej synowi, jako prawowitemu następcy z rodu Piastów.

Królewicz Kaźmierz wychowywał się w klasztorze i może byłby mnichem później został; zasłyszawszy jednak o wielkiej niedoli narodu polskiego nie wahał się ani chwili i czemprędzej do Polski pospieszył.

Radość była wielka w Polsce z odzyskania prawowitego króla. Z miast i wsi wychodzili ludzie tłumnie, witając króla radośnie, rzucając mu kwiaty pod stopy i śpiewając wesoło:

„A witajże nam witaj.
Miły gospodarzu“!

A że wszyscy chętnie słuchali króla, bo się wszystkim sprzykrzył bezrząd, więc też wkrótce ład został zaprowadzony w całym kraju, chrześcijaństwo jakoby na nowo zaprowadzone, granice od nieprzyjaciół umocnione i strzeżone pilnie. Sąsiedzi szanowali wielce młodego dzielnego króla, naród pokochał go bardzo i przydomkiem Odnowiciela kraju obdarzył, który to przydomek pozostał mu na zawsze w historyi.

Kazimierz I. Polskę odbudował.
Zakładał miasta i granic pilnował.
Odnowicielem albo Mnichem zwany.
Był od narodu bardzo szanowany.

(Ciąg dalszy nastąpi)



O lisie Sadełku, piesku Gasiu i o dobrym Krasnoludku.

(Ciąg dalszy.)

Ale drugiego dnia weszła Marysia w świat chłodny i mroczny, w świat borowy. Otoczyły ją tam dęby rosochate, sosny czarne o pniach kapiących złotą, bursztynową żywicą, brzozy szumiące liściem drobnym i graby zadumane i nizka kalina. I szła Marysia zalękniona, szepcząc w duszy:

— Prowadź mnie, prowadź, borze, do królowej Tatry!

I zaszumiały wszystkie drzewa, a w szumach ich słychać było: Tędy, tędy, tędy sieroto! Za Marysią szedł Podziomek, migając czerwonym kapturkiem, niby kraśny grzybek borowy, a idąc zadzierał brodę, bo mu się zdawało, że to on Marysię wiedzie. Ale nie tak było:

Wiodły ją te brzozy, dróżki,
Mchy zielone z pod jej nóżki,
Wiodły ci ją te kaliny,
Leśne gąszcze i drożyny,
Wiodły ci ją dęby, sosny,
Szum wesoły i żałosny.
Wiodły ją tak hen, przez swe wrota —
Bo sierota.

Ale trzeciego dnia weszła Marysia w świat gór i strumieni. Jak okiem zajrzeć, stoją skalne zręby, pod niebo się wspinają, jedne na drugie się tłoczą.

Liczne zdroje wody tryskają z pod kamieni, grzmią głazy, toczące się w przepaście. Gdzie okiem zajrzeć — kamień i woda. Taki świat!

Idzie Marysia sierota, twarzyczka jej pobladła, oczęta się zamgliły, serce struchlało w piersi. Idzie, ręce wyciąga przed siebie i szepcze:

— Prowadźcie mnie, góry, do królowej Tatry! — I wnet rozstąpiły się skały wysokie i ukazały się dolinki ciche, ścieżyny białe, a jakieś głosy szeptały w powietrzu:

— Tędy, tędy, sieroto!

I szła Marysia, i za Marysią dreptał Podziomek, zadzierał brodę, myśląc, że on to wiedzie sierotę, Ale tak nie było:

Wiodły ją te skalne szczyty,
Wiodły ją te szumne zdroje
Na te zamki, na pokoje...
Wiodły ją te orle pióra,
Ta stojąca w śniegach góra
Wiodła ją ta zorza złota,
Bo sierota!

Stał dwór królowej Tatry na wysokiej górze. Chmury u stóp jej leżały, dwa bory świerkowe wiodły do tego zamku, źródła tryskały w przysionku, dwa orły latały nad wieżycami zamku, dwa wichry wyły u jego progów. I przestrach i zachwyt ogarniały Marysię, gdy się pod tym dworem znalazła. — Gdzież tom ja zaszła? — szepnęła z cicha. Aż jeden z orłów rzecze ludzkim głosem: — Idź śmiało, sieroto. — Spojrzała Marysia ku orłu onemu i rzecze: — Jakże pójść mam po tak stromej i kamienistej drodze? Na to orzeł: — Nie lękaj się, ja ci pióro moje rzucę, to ci lżej będzie. Orle pioro u stóp Marysi padło. Podjęła je sierota i zaraz poszła lekko i żwawo, kamyków nie czuje, ziemi ledwie dotyka. Już stanęła u wrót zamku, ale śniegi i lody zagradzają wejście. — Jakże ja wejdę — biedna sierota — przez te góry śniegów i lodów? Aż tu promień słoneczny mówi ludzkim głosem:

— Nie lękaj się, ja te lody ogrzeję. — Idzie Marysia, zimna nie czuje, aż doszła do samego przedsionka. — Jakże ja teraz pójdę — mówi — kiedy w strumyku nóżki trzeba zamoczyć! A tu mgiełka mowi ludzkim głosem: — Nie bój się, idź śmiało, ja ci most srebrny przez ten potok rzucę.

I zaraz mgła układła się nad strumykiem, a Marysia przeszła po niej, jak po kładce, aż do progu królowskiej komnaty. Struchlała dziewczyna, olśniona jasnością i majestatem królowej Tatry, która siedziała na złocistym tronie. Ale królowa skinęła białą ręką i rzecze: — Kto jesteś dziecko? — Marysia ustka otwarła, sili się przemówić, a nie może, tak jej głos w piersi zamarł z wielkiego podziwu. Tu więc Podziomek, fajkę za plecy założywszy, ukłonił się i rzecze:

— To jest pastuszka z Głodowej Wólki, Marysia sierota. I znów szasnął nogami z wielkim zamachem. Na widok krasnoludka uśmiechnęła się królowa łaskawie, a potym twarz cudną zwróciła do Marysi i pyta: — Czego chcesz sieroto? Nie mogła już wytrwać Marysia, i wyciągnąwszy chude rączyny, zawołała: — Gąsek moich chcę, jasna królowo! Gąsek moich żywych siedmiu, co je lis udusił! I żeby gąsior znów gęgał do dnia, a gąski, żeby mu się odzewały i trawę szczypały, i żeby znów na łączce się pasły...

(Ciąg dlaszy nastąpi).

O SZKLE.

Przed paru tysiącami lat w Azji Mniejszej, nad brzegiem morza Śródziemnego mieszkał naród kupiecki — Fenicjanie. Rozwozili oni towary po świecie całym z jednego kraju do drugiego.

Pewnego razu statek fenicki, naładowany sodą, przybił do jakiegoś piaszczystego brzegu; żeglarze wnet rozpalili ognisko na piasku i wypadkiem rozsypali trochę sody na płonące żarzewie. Po wygaśnięciu ogniska ze zdumieniem znaleźli tam jakąś twardą, a kruchą i przejrzystą masę. Było to szkło.

* * *

Co w tej opowieści jest prawdą, a co zmyśleniem? Nikt na to pytanie odpowiedzieć nie może. Pewne jest tylko, że szkło oddawna było znane i że wynalazek jego przypisują Fenicjanom.

Z początku jednak szkło było tak kosztowne, że tylko bogacze mogli pozwolić sobie na kupno szklanych kielichów i dzbanów. Dziś i w najuboższej chacie wprawiają w okna szyby. Dawnemi czasy było inaczej. Nawet w dworach zamożnych panów zaciągano okna błoną rybią, skórą zwierzęcą, nasiąkniętą tłustością, lub poprostu zamykano przed deszczem i chłodem zasuwami drewnianemi.

Kiedy król polski, Kazimierz Sprawiedliwy (panował od roku 1177 do 1194-go) przygotowywał w zamku san-

domierskim mieszkanie dla swej żony Heleny, kazał w niektóre okna wstawić szyby szklane. Uważano to wówczas za wielki zbytek i osobliwość.

Zosia i Bućko.

Zosia i Bućko to starzy przyjaciele. Zosia to mała dziewczynka, a Bućko to duży pies. Oboje są z tego samego świata, bo oboje mieszkają na wsi.

Odkąd się znają? — Sami nie wiedzą: tak daleko nie sięga pamięć psa, ani małej dziewczynki. Zresztą nie potrzebują tego wcale wiedzieć: nie mają ani ochoty, ani potrzeby pamiętania o takich rzeczach. Zdaje im się tylko, że się znają już bardzo, bardzo dawno, od samego początku świata, bo nie wyobrażają sobie, żeby świat mógł być bez nich. Zosia zawsze znała Bućka, a Bućko zawsze znał Zosię.

Bućko jest daleko większy i silniejszy od Zosi. Gdy kładzie swoje łapy na jej ramiona, przewyższa ją o dwie głowy. Mógłby ją połknąć całą, ale nie robi jej nigdy żadnej krzywdy.

Bućko uwielbia Zosię. Taka maleńka, taka słaba, a taka mądra! Liże ją językiem z wielkiej miłości. A Zosia znowu kocha Bućka dlatego, że Bućko jest silny i dobry. Wie, że Bućko nikomu krzywdy nie zrobi. Wie, że Bućko umie dużo rzeczy, o których ona, Zosia, niema pojęcia. Taki ogromny, taki silny, a taki łagodny.

Naraz jednego dnia postrzegła Zosia, że jej przyjaciel uwiązany jest na łańcuchu do drzewa przy studni. Nie dowierza własnym oczom.

A Bućko patrzy na nią swemi poczciwemi, ciemnemi oczyma. Znosi swą niedolę z cierpliwością i uległością.

Ale Zosia nie zbliża się do niego. Ona nie może znieść niewoli swego wielkiego, dobrego Bućka i stoi zmartwiona i smutna, spoglądając na niego ze współczuciem.

